

Gospodarcze tsunami (2)

Kryzys pieniądza

W przeszłości pieniądz był pochodną realnych procesów. Na początku jego ilość była ściśle uzależniona od ilości złocie czy innego kruszcu, a później, porzucając parytet złota, zakładano, że ilość pieniądza będzie oparta na operacjach faktycznie zachodzących w gospodarce (miał on mieć zabezpieczenie w produktach, towarach, usługach). Niestety, z czasem przyjęto pogląd, że ilość pieniądza w gospodarce nie wynika z ilości wytworzonego bogactwa. Co więcej, założono, że poprzez wpompowanie w gospodarkę pieniędzy, wytwarzany jest dodatkowy popyt, dzięki któremu, chcąc sprostać zaspokojeniu tak wykreowanych nowych potrzeb, gospodarka będzie się rozwijać. Ilość pieniądza przestała wynikać z ilości wytworzonego bogactwa, ale to kredyt, zaczął napędzać gospodarkę. Zaspokajanie coraz to nowych potrzeb, kreowanie popytu, wysoka konsumpcja stały się pożądanymi zachowaniami, które, zgodnie z panującą doktryną, miały stymulować gospodarkę do rozwoju.

Konsekwencją przyjęcia tej koncepcji jest fakt, że tak naprawdę nie ma dzisiaj czegoś takiego jak wewnętrzna wartość pieniądza, gdyż nie ma twardych reguł do jego tworzenia – mamy pieniądz papierowy. Jego wartość opiera się tylko na wzajemnej umowie i zaufaniu. Pokusa zaś tworzenia nowego pieniądza jest i zawsze była ogromna. Już w czasach waluty złotej, mający przywilej bicia monet władca, psuł pieniądz poprzez bicie monet z zaniżoną w stosunku do deklarowanej ilością złota w bitych pieniądzach. Takie działania władców, były dość częstym zjawiskiem, ale manipulowanie wartością pieniądza było ograniczone, bo możliwe było tylko do czasu wykrycia oszustwa. Tak jak wzorzec metra z Sevres jest odniesieniem dla systemu metrycznego, tak złoto było odniesieniem wartości monety i podstawą całego systemu wymiany. Trudno wyobrazić sobie dokonanie jakichkolwiek obliczeń matematycznych, gdybyśmy nagle wprowadzili dowolność w definiowaniu długości jednego metra, wagi jednego kilograma. To brutalna prawda, ale w dzisiejszych czasach, w przypadku papierowego pieniądza, nie mamy takiej stabilnej kotwicy. Teraz metody psucia pieniądza nie muszą być już tak wyrafinowane jak kiedyś – wystarczy odpowiednia drukarnia i papier, a nawet tylko księgowy zapis na wirtualnym koncie.

Po upadku w 2008 roku banku Lehman Brothers, aby zachować płynność banki centralne zaczęły zasilać rynek międzybankowy w gotówkę. W skrajnych przypadkach, rządy czy banki centralne zaczęły nawet kupować zagrożone upadkiem instytucje. Oczywiście jest, że kierując się tzw. interesem społecznym, transakcje te nie były oparte na obiektywnych rynkowych wycenach. Takie działanie co prawda umożliwia dalsze bieżące funkcjonowanie rynku finansowego (dochodzi na nim do transakcji), ale w dłuższym czasie może mieć zgubne skutki. Faktycznie bowiem tak wprowadzany do obiegu przez władze pieniądź jest pieniądzem pustym, nie mającym pokrycia w realnej wartości. Łatwo tu odnaleźć analogie dzisiejszych działań rządów do działań w Polsce lat 80 - drukowaniu pustego pieniądza, co w konsekwencji doprowadziło do powstania tzw. nawisu inflacyjnego, hiperinflacji, upadku całej polskiej gospodarki – tego wszystkiego, co było ekonomiczną bezpośrednią przyczyną upadku poprzedniego, socjalistycznego systemu. Wielu z nas pamięta lata galopującej inflacji początku lat osiemdziesiątych i pojęcia tzw. pustego pieniądza, gdy socjalistyczny eksperyment kończył się w naszej gospodarce drukowaniem tzw. biletów NBP. Wtedy ostoją bezpieczeństwa była jednak stabilna „waluta”. Sytuacja jest o tyle bardziej dramatyczna, że o ile wtedy w Polsce rynek uciekał od złotówki do pewnej waluty, jaką był dolar, funt czy marka, tak teraz nie ma walutowej alternatywy dla pustego dolara czy euro.

Obniżenie niemal do zera stóp banków centralnych, zagwarantowanie przez rządy depozytów, faktyczne upaństwowienie kilku globalnych instytucji, nie przywróciło zaufania między bankami i nie odblokowało akcji kredytowej dla przedsiębiorstw do stanu sprzed kryzysu. Odbudowywanie zaufania na rynku bankowym zostało bowiem przeprowadzone poprzez interwencje faktycznie zasilające rynek gotówką bez pokrycia. Szaleństwem jednak jest zwalczanie katastrofy spowodowanej nadmiernym zaciąganiem kredytów, przy pomocy jeszcze większego zadłużania się – tym razem ze strony rządu, jako pożyczkobiorcy. Można to porównać do gaszenia pożaru benzyną. Chwilowo można ogień przydusić, ale gdy ludzie zorientują się, że taki dolar czy euro ma coraz mniejszą wartość, to stracą zaufanie do waluty i kryzys zaufania z sektora bankowego przejdzie w utratę zaufania do pieniądza i państwa w ogóle - ogień wybuchnie ze zwielokrotnioną siłą. Widzimy to dzisiaj, gdy jest coraz mniej chętnych do zakupu, jeszcze kilka lat temu uznawanych za super bezpieczne, obligacji greckich, irlandzkich, włoskich, portugalskich, hiszpańskich... Rynek poznał, że ich wartością są często tylko puste słowa polityków, którzy obietnicami kupują spokój społeczny.

Kryzys w sferze realnej gospodarki

Powstanie globalnego systemu wyrafinowanych operacji finansowych doprowadziło do proporcji, w której na globalny obrót rzeczowy o wartości 1 dol. przypada przynajmniej kilkanaście dolarów operacji czysto finansowych. Oznacza to, że krwiobieg pieniądza i gospodarki stały się niezależne od siebie i te kilkanaście wirtualnych dolarów bez pokrycia w realnej gospodarce tworzy piramidę finansową, która kiedyś musiała się przewrócić. Konsekwencją kryzysu na rynkach finansowych będzie (już jest) kryzys produkcji i konsumpcji towarów i usług, kryzys całej działalności gospodarczej. Do tej pory było inaczej - to sfera finansowa gospodarki była pochodną sfery realnej gospodarki. Zmiana roli pieniądza, spowodowała zmianę kierunku tej relacji. W wielu europejskich krajach mówimy dziś o recesji, czyli kurczeniu się gospodarek i zmniejszaniu bogactwa.

Co dalej?

Nikt się nie spodziewał, że tak szybko zostaną wystawione do spłaty rachunki za życie na kredyt poprzednich pokoleń. Obserwując niespotykane od lat społeczne protesty, najpierw w Atenach, potem Madrycie a ostatnio w Londynie, nie trzeba być wizjonerem by z obawą przewidywać, jak zachowają się całe masy społeczne, gdy odkryją, że wieloletnie rodzinne oszczędności ulotniły się na giełdzie albo, że budżetów opiekuńczych państw nie będzie stać na wypłatę emerytur. Niebezpieczeństwo wystąpienia niespotykanych na skalę światową niepokojów społecznych nigdy jeszcze nie było tak duże. Obawa przed realizacją takiego scenariusza wyjaśnia determinację rządzących do utrzymania dotychczasowych stosunków społeczno-ekonomicznych, nawet kosztem drukowania pustego pieniądza.

Zdegradowany został pieniądz - sam fundament stosunków gospodarczych. Koniecznym rozwiązaniem wydaje się więc zrewidowanie światowych podstaw funkcjonowania walut. Tak jak w przypadku innych sfer życia potrzebujemy stabilnych wzorców, tak samo gospodarka potrzebuje takich stabilnych kotwic. Kto wie, czy jedynym wyjściem nie będzie odbudowa zaufania do pieniądza przez powrót do waluty opartej na złocie (albo innym kruszcu). Z punktu widzenia całej historii, zakończony katastrofą eksperyment przełomu XX i XXI wieku z papierowym pieniądzem, jest przecież tylko krótkim epizodem. Istnieje jednak realne niebezpieczeństwo, że zamiast powrotu do sprawdzonych „złotych” wzorców, po

bankructwie dolara, euro czy funta będzie ogromna pokusa stworzenia jednej ogólnoswiatowej papierowej waluty i jednego ośrodka władzy ją emitującą, który będzie w dowolny, niekontrolowany przez naturalne rynkowe procesy sposób tworzył nowy, jedyny ogólnoswiatowy pieniądz.

Powrót do korzeni

Na naszych oczach rodzi się nowy ład gospodarczy Światowi przywódcy uznali, że kryzys finansów światowych został spowodowany przez niedostatki nadzoru. Mówi się o konieczności „wzmocnienia przejrzystości i odpowiedzialności” rynków finansowych, większego współdziałania państw oraz „wzmocnienia zdrowych regulacji”. Najtrudniejsze kwestie stojące przed rządami narodowymi mają charakter międzynarodowy (kryzys finansowy, zmiany klimatu, wojna z terroryzmem) i dlatego pchają rządy w kierunku rozwiązań globalnych. Mamy globalne rynki finansowe i nie mamy globalnych rządów prawa. Pokusa stworzenia super rządu o zasięgu globalnym, podmiotu o cechach podobnych do państwa, wspartego zbiorem praw jest spora. Rewolucje w transporcie i łączności skurczyły świat do tego stopnia, że po raz pierwszy w historii dałoby się to zrobić. Jakże łatwe byłoby to do kontrolowania, gdyby powstał jeden rząd i jedna waluta.

Zmiany powinny być radykalne, ale powinny polegać raczej na powrocie do źródeł wartości, które kiedyś zbudowały kapitalizm, a jeszcze wcześniej legły u podstaw naszej europejskiej cywilizacji, a nie modyfikacji i udoskonalaniu błędnego w samych założeniach policyjnego systemu. Miejmy nadzieję, że rozwiązania pójdą w kierunku uznania ekonomii jako nauki pozytywnej, tj. nauki, która zajmuje się światem takim, jakim on jest, a nie takim, jakim powinien być. Podobnie bowiem, jak w przypadku praw przyrody istnieją w ekonomii obiektywne, naturalne prawa i zasady, i zdecydowanie lepszym rozwiązaniem jest poznawanie i akceptowanie tych naturalnych praw niż tworzenie nowoczesnych, nowatorskich norm.

Winnych tego kryzysu, w zależności od punktu widzenia, można szukać w wielu miejscach. Kredytobiorca, który nie jest w stanie spłacać kredytu hipotecznego, będzie oskarżał złego i chciwego bankowca, który kiedyś „wpychał” mu taki kredyt. Bankowiec zaś będzie się zaslaniał, że odpowiadał tylko na potrzeby kredytobiorcy. Ktoś, kto kupił na giełdzie super pewne papiery o ratingu AAA, będzie szukał odpowiedzialności u firm doradczych, które

zasłonią się obiektywną niemożnością przewidzenia takich nadzwyczajnych sytuacji przez statystyczne modele i będą próbować obciążyć winą rządzących, którzy swoimi decyzjami nie pomogli upadającym instytucjom, a deklarowali przecież gwarancje i powinni ratować fundusze i emerytury. Politycy w końcu powiedzą, że postępują tak, bo mają mandat wyborców. Najłatwiej szukać winy u innych.

Nie jest to też kryzys kapitalizmu. W kapitalizmie bowiem gdy rynek poznał prawdę; kiedy dowiedział się, jaka jest wartość „papierów” giełdy pewnie zaczęłyby się walić, ale szybciej znalazłyby cenę równowagi. Niestety, politycy, którzy nie tak dawno uspokajali że „finanse kraju są pod kontrolą”, postanowili wpompować w gospodarkę jeszcze więcej papieru, za które chcą ratować banki, powiększając deficyt budżetowy, osłabiając pieniądź i rabując zwykłych ludzi z dorobku ich życia. W konsekwencji wielu ludzi jest dziś przekonanych, że bez względu na to, jak dobrze (czy źle) pokierują swoimi firmami, rząd i tak weźmie za to odpowiedzialność. Za tę ich beztroskę musi zapłacić podatnik, któremu wmawia się, że jest to kryzys kapitalizmu. Tymczasem zrzucanie winy za kryzys na kapitalizm to absurd. Istotą kapitalizmu jest wolność, konkurencja, poszanowanie własności prywatnej, równość szans, a nie redystrybucja, czyli zabieranie jednym i dawanie drugim - to są socjalistyczne idee.

Wartości – głupcze!

Tak naprawdę jednak przyczyny tego kryzysu, oderwania sfery finansowej od sfery realnej, należy upatrywać w upadku podstawowych wartości, w oderwaniu codziennego życia od sfery duchowej, od tego, co powinno być motywacją dla naszego codziennego zachowania, dokonywanych decyzji i wyborów. Trzeba zapomnieć o zabezpieczonych długiem obligacjach, wskaźnikach kapitałowych itd. i zastanowić się, co kryzys ten tak naprawdę mówi o naturze świata, w jakim obecnie żyjemy. Kryzys ten to bowiem nie tylko przejściowy nieład w dobrze funkcjonującym systemie finansowym, czy materialnym, ale konsekwencja pogłębiającego się załamania systemu wartości. Pożywką gry giełdowej jest z jednej strony chciwość, a z drugiej strach przed stratą. Ludzi zżera żądza pieniądza, konsumpcja i potrzeba zaspokajania coraz to bardziej wyszukanych potrzeb. Jak trafnie zauważył George Fooshee w książce Howarda Daytona „Twoje pieniądze się liczą” – „Ludzie kupują rzeczy których nie potrzebują, za pieniądze, których nie mają, by zaimponować ludziom, których nie lubią”. Spróbujmy pomyśleć, jak inaczej wyglądałby świat, gdybyśmy

kupując, kierowali się zaspokojeniem naszych faktycznych potrzeb, zakupy robili za pieniądze, które zarobiliśmy, zaspokajając potrzeby innych, a naszą motywacją byłoby czynienie przyjemności Bogu, któremu miłość wielu z nas deklaruje.

Konsekwencją gospodarczą takiego zachowania jest całkowita zmiana paradygmatu. Chrześcijanin powinien swoje miejsce na rynku wyznaczać nie głównie jako ten, który zaspokaja swoje potrzeby i kreuje popyt, ale jako ten, który służy innym i przede wszystkim, jako nastawiony na dawanie, tworzy oczekiwaną przez innych podaż dóbr i usług. Zamiast dzisiaj panującej ekonomii popytu nakręcanego kredytem, mielibyśmy ekonomię podaży – ekonomię służby. Zamiast pustego pieniądza i ubezwłasnowolnienia długoletnim zobowiązaniem do spłaty kredytu, mielibyśmy pieniądz otrzymany za wytworzone dla innych dobra i usługi, i krok po kroku rosnące oszczędności. Zamiast motywacji zawiści, zazdrości innym ludziom, mielibyśmy chęć bycia wiernym Bogu i przyjaznym ludziom. Nie zapominajmy też o starotestamentowym wzorcu Józefa, który w czasach obfitości napełniał spichlerze, by mądrze je rozdzielać w czasach kryzysu.